

MINIATURA.

(Zdarzenie okultystyczne).

— Cóż na to nasz sceptyczny przyrodnik? — zwrócił się Sindbad do mnie z uśmiechem wokoło wąskich ust, który mocno na złośliwość zakrawał.

— Masz rację prawdopodobnie — odparłem po chwili wahania — trzeba się co prawda do tych spraw odnieść nieufnie, nie mogę ich jednak z czystym sumieniem „niedorzecznością“ nazywać, od chwili kiedy sam przed czterema laty byłem świadkiem osobliwego i niezrozumiałego dla mnie wypadku.

— I ty? — mruknął staruszek.

Skinąłem głową, mówiąc dalej:

— Zdarzył się podczas malej uczty mianowicie, którą nam wyprawił wielki przemysłowiec T. w nowej swej posiadłości. Była to nowoczesna, zbytkownie urządzona pańska rezydencja w pobliżu Herstorfu. — Wszystko, co mózgi architektów dla wygody rozpieszczonych współczesnych ludzi wymyślić mogły, tu przybrało kształty realne.

Jedno tylko było niedorzeczne: zamek wznosił się obok zwietrzałej ruiny, w którą wchodził nawet krótkim i wąskim korytarzem. Jąkdoby ktoś rękaw nowego fraka zszyl z rękawem starego wieśniaczego kaptura.

Dziwiłiśmy się temu bardzo, wiedząc, że gospodarz nasz nie ma romantycznej natury; przepadał za sportem, budową maszyn, wesołymi przyjaciółmi, pięknymi kobietami. Ale tego, żeby się miał zapalić do zmuszonego gniazda rycerskiego, nikt z nas nie przypuszczał.

Znany psychiatra, profesor B. dał wyraz naszemu zdumieniu, pytając:

— Skąd pan radca wpadł na osobliwą myśl wzniesienia swego tusculum w tej samej okolicy i tuż obok kamiennego trupa?

Przemysłowiec wzruszył ramionami, uśmiechniętym gestem wskazując na żonę swą, wysoką, idealnie proporcjonalną blondynę o białej jak kość słoniowa twarzy i parą czarnych jak węgiel oczu, których dziwne jakiegoś, zagubione spojrzenie błędziło po świecie i ludziach.

— Nie moja wina, panie profesorze. Tu podziękuj! Robiliśmy w zeszłym roku tournée autem po tej okolicy, gdyśmy obok ruiny przejeżdżali, żona ze szczególnym wyrazem twarzy oznajmiła mi, że była tu już kiedyś, ale kiedy, nie może sobie przypomnieć — dawno już bardzo chyba — i jeżeli chce jej zrobić przyjemność, to kupię te zwaliska i doprowadzę do mieszkalnego stanu, gdyż ona pragnęłaby tu zamieszkać. Zdziwiłem się niepomiernie i dziwie się dotychczas. Jak państwu wiadomo bowiem, moja żona jest Flamandką i do czasu naszego ślubu rodzinnych swych stron nie opuszczała. Podczas naszych wycieczek zaś po całej Europie nigdyśmy w tych okolicach nie byli. Przypuszczam zatem, że Zuzanna podobne zrujnowane zam-

czysko napotkane w jednej z naszych podróży utkwic musiało w pamięci. Na co się jednak przydadzą wszelkie trzeźwe nawoływania do rozsądku wobec apelu do galanterji małżonka! Ustąpiłem tedy! Niezupełnie coprawda, gdyż na stałe w odnowionych ruinach nie osiadę, cieszę się jednak, że Zuzanna zrobiłem przyjemność.

Pani Zuzanna skinęła głową z uśmiechem.

— Czy historia ruin jest państwu znana? — pytał dalej profesor.

— Owszem, cokolwiek — odparł radca. Jest gruba stara kronika o dość nieczytelnym druku. Niejednokrotnie już przeglądałem ją; nic w niej ciekawego. Jedno tylko intryguje mnie: brak kilku stron, kto wie, czy nie najbardziej interesujących!

W tejże chwili zgasy nagle elektryczne lampy w całym domu. Zegar wieżowy wydzwonił dwunastą nocną godzinę. Światło księżycowe srebrnymi smugami zalało salę jadalną. Nasza gromadka zastygła w milczeniu. W otaczającej nas ciszy rozległy się kroki i brzęk ostróg; główne drzwi otwały się. W progu stała mglista, wszystkim nam widoczna, postać wysokiego mężczyzny w czerwonym aksamitnym stroju rycerzy z czasów trzydziestoletniej wojny z beretem zdobnym piórami w ręku, wolnym krokiem przeszła przez salę i znikła w ścianie przeciwnej. W ślad za tem kinkiety znów światłem zabłysły. Spojrzeliśmy po sobie. Byliśmy wszyscy trupio bledzi i z trudem ukrywaliśmy drżenie. Krzyk się rozległ: „Konrad!“ i pani domu upadła bez zmysłów na posadzkę. Zanieśliśmy ją do jej pokoju, powierzając opiekę profesora. W pół godziny potem siedziała znów między nami, bledsza tylko, niż zwykle.

Po bezskutecznych usiłowaniach z naszej strony zbagatelizowania całego zajścia gospodarz domu zwrócił się do swego bliźniego przyjaciela inżyniera Gellingena ze słowami:

— Przeżyliśmy chwilę niezwykłą. Mówiłeś mi kiedyś, że wiesz cośkolwiek o takich zdarzeniach. Wytlumacz nam fenomen!

Inżynier zrobił ruch przeczący:

— Tu słowa na nic się nie dadzą. Zaczekajmy do jutra. Przy świetle dziennym rozpatrzmy sprawę. Proponuję teraz, abyśmy się teraz na spoczynek rozeszli, jutro zaś o godzinie 8 rano zebrałi się znów tutaj. A potem zobaczymy!

Nazajutrz nikogo z nas w sali nie brakowało, rzecz prosta. Inżynier, poprosiwszy o jak największą ciszę, potrzebna mu dla skupienia myśli, poszedł z wyciągniętym ramieniem i rozstawionymi palcami droga, którą nocna zjawia przebyła aż do muru, gdzie pozostał chwil kilka w sobie zatopiony, odwrócił się potem szybko i skinął na nas, abyśmy szli za nim. Minawszy podwórze, skierował się wprost ku ruinie, gdzie zatrzymał się przy jednym z łuków muru:

— Kopać! — rozkazał krótko.

Gospodarz sprowadził ludzi z łopatami

Po kilku chwilach ujrzelśmy zasypane dotychczas ziemią, zmuszające drzwi, które po kilku uderzeniach łopat rozpadły się na kawałki. Weszliśmy do zatechnego korytarza, tak tylko wysokiego, żeśmy mogli wprostowani iść nim, prosto z początku, potem na prawo, na lewo znów potem, aby stanąć wreszcie przy ślepej, zamurowanej ścianie.

— Uderzyć! — rozkazał inżynier.

Łopaty wbiły się w mur, tak zwarty, że trzeba było kilka godzin czasu ciężkiej pracy, aby wylamać otwór dostateczny na to, aby jeden człowiek, zgięty wpół, mógł się przezeń przedostać. Przeleźliśmy jeden po drugim i znaleźliśmy się w pełnej zaduchu, kwadratowej komorze bez okien. Nasze świece wnet pogasły z powodu braku tlenu. Inżynier wy dobył z kieszeni elektryczną lampkę i oświetlił izbę.

Oczom naszym przedstawił się zgrozą przejmujący widok: pośrodku izby siedział na ziemi skulony szkielet w ubranju do najdrobniejszych szczegółów podobnym do stroju, który nasza nocna zjawia miała na sobie. W kościach palców tkwił mały, owalny przedmiot.

Inżynier po chwili wahania, zebrawszy się na odwagę, podszedł do kościotrupa, wyjął mu ostrożnie owal z ręki i podał go panu radcy. Ten spojrział nań przy blasku lampki kieszonkowej i z okrzykiem przerażenia opuścił na ziemię. Konwulsyjny dreszcz wstrząsnął silnym tym mężczyzną i byłby upadł, gdybyśmy go nie pochwycili w porę.

Wyniósłszy śpiesznie naszego gospodarza na świeże powietrze, obejrzelśmy przy świetle dziennem przedmiot, który tak silnie wrażenie na nim wywarł. Była to duża wielkości dłoni miniatura z kości słoniowej... wielki Boże!... dzisiejszej właścicielki zamku, Zuzanny, w jej własnej osobie, o twarzy białej, jak kość słoniowa i parą czarnych oczu, których dziwne jakiegoś zamglone spojrzenie błędziło gdzieś w dali...

Tego samego wieczora jeszcze opuściłem zamek i nigdy tam już więcej nie zająłem. Doszła mi jednak niedawno wiadomość, że zaginione strony kroniki znalazły się przy restauracyjnych robotach fortecznego zamku. Kartki te głosiły, że rycerz Konrad Staglin w 1612 roku nawiązał miłosny stosunek z Blanche, żoną ówczesnego właściciela Herstorfu, Flamandką, za co potajemnie schwytyany i zamurowany został w podziemnej komnacie fortecznego zamku. Poza tym, grozą przejmującym wypadku, dzieje zamku na Herstorfie niczem się osobliwym z szeregu innych średniowiecznych warowni feodalnych nie wyróżniają.

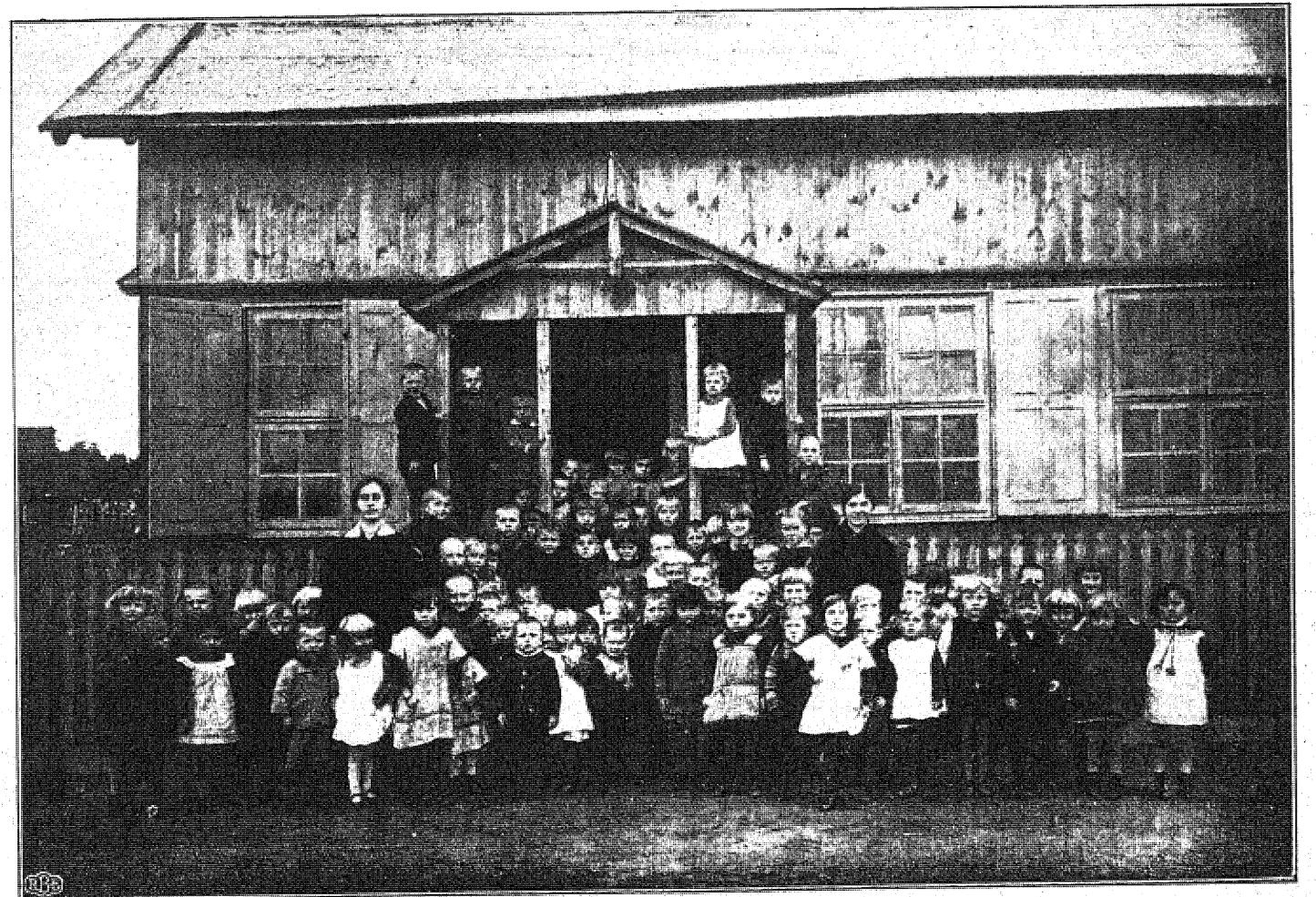
Tłum. Jotsaw.



Rok IV.

Łódź, dnia 13 listopada 1927 roku.

Nr. 46.

O kulturalne podniesienie przedmieść łódzkich.**Ochronka dla dzieci robotniczych na krańcach Łodzi.**

Dzięki niezłomnym staraniom proboszcza parafji św. Wojciecha w Chojnach, ks. Kąkolewskiego i czynnemu wsparciu miejscowych obywateli, udało się wybudować własny domek, gdzie znalazła pomieszczenie ochronka i przedszkole dla tych dzieci, których matki zmuszone są pozostawiać swe maleństwa w domu. Jak bardzo potrzebna była ta instytucja w tej okolicy, świadczy o tem fakt, że zaraz w pierwszym dniu zgłoszono dwa razy tyle dzieci, ile można było w skromnym budyneczku pomieścić.

Fot. Aleksander Meyer.

TEATRALIA.

„Koi Trojański”. — Z wileńskiej „Reduty”.
Z teatrów niemieckich. — Nowa sztuka
Chestertona.

„Fura Słomy” Z. Kaweckiego, w pełni powodzenia, bo po sześćdziesięciu przeszło przedstawieniach, zesła wreszcie z afisza warszawskiego Teatru Małego, na jego zaś scenę wjechał „Koi Trojański”, pochodzenia wprawdzie włoskiego, gdyż autorem jest C. Giachetti. Jest to bardzo średnio dowcipna komedycja, posiadająca „wszechpotęgę” krytyki za osnowę, a bezlitosnego krytyka za figurę centralną. Pewien początkujący autor, w obawie „zrznięcia” i „zarznięcia” jego sztuki przez surowego sprawozdawcę, wkrada się do domu tegoż pod wymyślnym nazwiskiem, licząc na pozyskanie względów zoila. Ten zoil zresztą posiada bardzo miłą — i przystępną dla pisarza — żonę, sam zaś ucina romansik na boku z swoją sekretarką czy też stenotypistką. Dlatego też nie ma nic przeciwko flirtowi autora z małżonką, a wdzięczny jest niedoszłej swej ofierze tak dalece, że zachowuje dla niej łaski recenzenckie nawet wtedy, gdy autor musi się zdemaskować i ujawnić swoje prawdziwe nazwisko. Życzliwa recenzja, dwie zadowolone z siebie i z życia pary — słowem i wilk syty i owca cała.

Z tej problematycznie interesującej historii niezbyt wiele wykrzesał p. Giachetti, okazując się naprawdę autorem potrzebującym nieodzownie protekcji żon sprawozdawców i innych „trojańskich” forteli. Włoszczyzna dość pośledniego gatunku, nie wytrzymująca porównania nawet z takim Nicodemim. Stawiając kropkę nad i, dodamy, że jeden z najcięższych krytyków warszawskich (de te fabula narratur...) wyraził się, iż w porównaniu z Giachetti'm nawet Verneul „jest Szekspirem”. Z wykonawców wymienimy: pp. Leszczyńskiego, Grolickiego (zna go dobrze Łódź), Kamińską i Modrzewską.

„Reduta” wileńska rozpoczęła trzeci rok swej artystycznej pracy wystawieniem w tych dniach nieznanego sztuki młodego autora krakowskiego, p. A. Rybickiego, p. t. „Okno”. Pomimo bardzo starannej i wypracowanej gry zespołowej „Reduty” trudno powiedzieć, że debiut autorski p. Rybickiego wypadł dodatnio. Zadanie tematyczne wybrane zostało bardzo interesujące i niepowtarzalne: ratując żonę przed groźną jej stałą chorobą obłądki, mąż — tyraństwem i okrucieństwem wywołuje ku sobie nienawiść żony, ta nienawiść bowiem ma odegrać rolę psychicznego piorunochronu, odprowadzającego na inne tory złą, a przyczajoną potęgę szaleństwa. Ta sytuacja małżeńska wprowadza oboje w sytuację bez wyjścia: żona, szarpiąc się w tęsknocie za macierzyństwem, którego jej ze względu na groźbę duchowych, chorobowych komplikacji odmówiono, zwraca swe uczucie miłosne ku pisarzowi kancelaryjnemu męża; mąż — kochając żonę a miłość jej świadomie utraciwszy — w brudnych uciechach poszukuje daremnie za-

pomnienia i rozgrzeszenia. Dylemat istotnie do rozwikłania trudny, o ile oczywiście autor pragnie uniknąć tak pospolitych sposobów, jak kula rewolwerowa lub inna forma samobójstwa. Wzajemnie za to przychodzi jednak to, co przyjść musiało: obłądki żony, która nie może już wierzyć w miłość małżonka, a nie znajduje jej również w sercu domniemanego pocieszyciela. Autor wprowadza w orbitę dramatu trzeciego jeszcze męzczyznę, uosobienie męskiej, żywiołowej, buchającej żarem zmysłowości — mocy.

Wszystko to mogłoby być bardzo piękne i ciekawe, niestety — p. Rybicki utknął sam w jakimś impasse już po pierwszym akcie i jest wprost bezradny wobec swych postaci, które przestają wiedzieć, czego chcą i dokąd iść i napróżno oglądają się za pomocą swego scenicznego ojca. A ojciec ten, ponadto, zaczyna błąkać się i wikłać w mrocznym gąszczu niezmiernie zawilej symboliki i teatralnej alegorii, wprowadzając kilka urojonych, fantastycznych postaci z „lewej strony domu”, urządzając całe koncerty wyszłych już dawno z mody, „tajemniczych”, „fatalnych” skrzypień, szmerów, kroków, pukań itd., itd. Cała ta sztuka p. Rybickiego świadczy o wielkiej jeszcze słabości konstrukcji i techniki autora, których okupić oczywiście nie może leżyk dość gładki i poetycki, choć miejscami może zbyt afektowny. Ze „Reduta” w swych chwalebnych zamierzeniach sztukę polskiego autora chciała zaprezentować na inaugurację — to rzecz całkiem dobra i zrozumiała. Można by jednak chyba wybrać nieco lepiej, bo, doprawdy, szkoda ogromnego wysiłku aktorów, włożonego w utwór bardzo jeszcze słaby i niedojrzały. P. Rybicki ma niewątpliwie ambicje i zdolności poetyckie, sporo odwagi i dużo dobrych

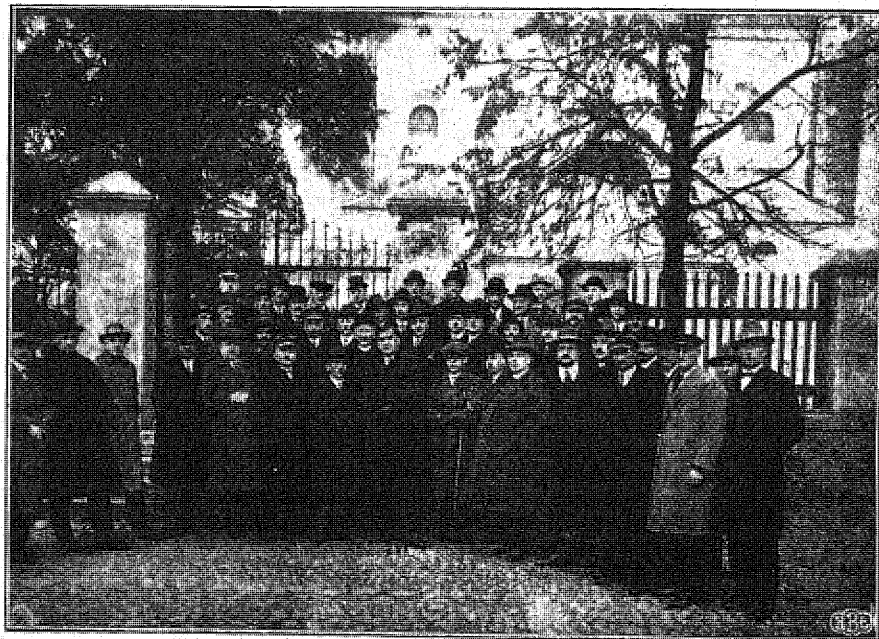
chęci. Ale za to jeszcze za mało, aby stać się pisarzem scenicznym i do tego — nieładą jakiego — cechu się wkupić.

Teatry niemieckie, pracujące, jak wiadomo, starannie i solidnie, z dbałością o dobór i urozmaicenie repertuaru, zapowiadają cały szereg nowości, bądź nieznanych dotąd zupełnie, bądź też jeszcze niegranych na scenach niemieckich. Teatr miejski w Essen przygotowuje sztukę O'Neill'a p. t. „S. S. Glencairn”. Teatr w Mannheim — Alfreda Endlera: „Demetrius Jakimowicz”. Teatr w Monachjum (kameralny) — najnowsza sztuka autora „Kredowego koła” — Klabunda, pod tajemniczym tytułem: „X. Y. Z.” Komedja w Dreźnie wystawiła Harrendevera — „Lepszego Pana” („Ein besserer Herr”). W związku z jubileuszem wielkiego niemieckiego poety — Kleista, teatr w Frankfurcie nad Odrą zaprosił zespół daramsztacki pod dyrekcją Karola Eberta na szereg przedstawień „Penthesilei” Opera w Cassel wystawia wkrótce dzieło osiemnastoletniego kompozytora E. Dresela p. t. „Biedny Kolumb”. Opera hamburska zaprezentowała w końcu ub. miesiąca najnowsze dzieło Respighiego p. t. „Dzwon zatopiony”. Wreszcie opera w Kilonji wystawiła w początkach listopada nieznaną w Niemczech dzieło Puccini'ego p. t. „La Rondine” („Jaskółka”), ciesząc się we Włoszech wybitnym powodzeniem.

Niedawny gość polskich kół literackich, G. K. Chesterton napisał nową trzyaktową komedję p. t. „Wyrok pani Johnson”. Jak wieści noszą, sztuka znakomitego angielskiego pisarza wystawiona ma być wkrótce jednocześnie w Paryżu, Londynie i Berlinie.

Delta.

o:



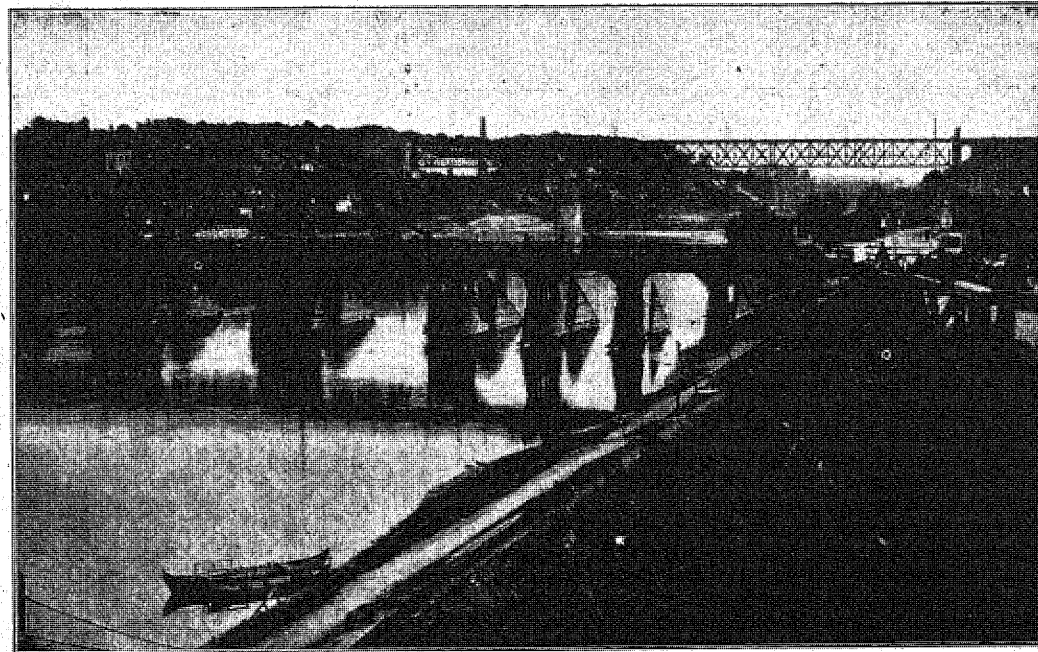
Wycieczka zjazdu starostów z całego terenu Rzplitej w Łasku z udziałem wicewojewody łódzkiego p. Lewickiego (X), wicewojewody wileńskiego p. Malinowskiego (XX) oraz starosty łaskiego p. Walasa (XXX) Fot. M. Stenberg.



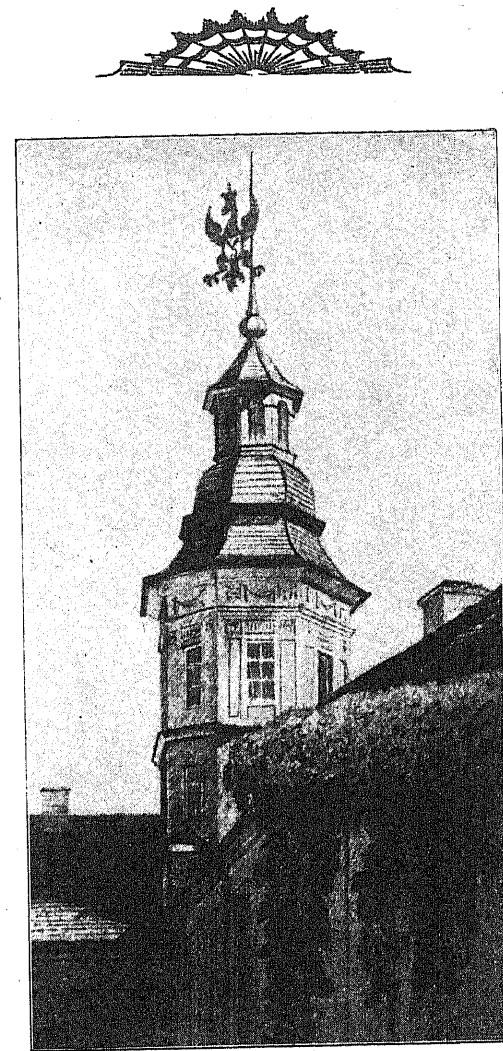
W tygodniu ubiegłym ogólnie znany w Łodzi ogrodnik-instruktor, p. Leon Kofalczkowski, obchodził jubileusz 35-letniej pracy.



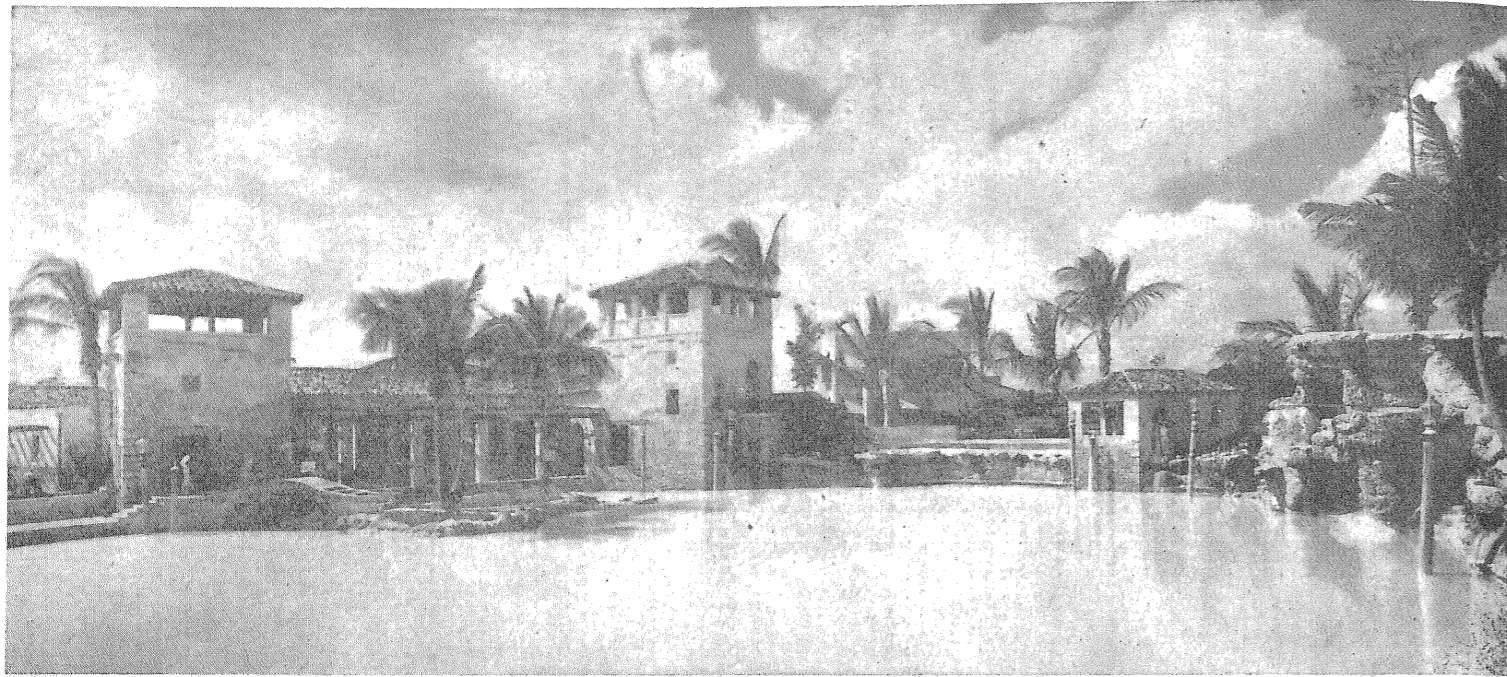
W ubiegłą niedzielę oddział łódzki Ligi Morskiej Rzecznej zakończył sezon pływacki rozdaniem dyplomów.



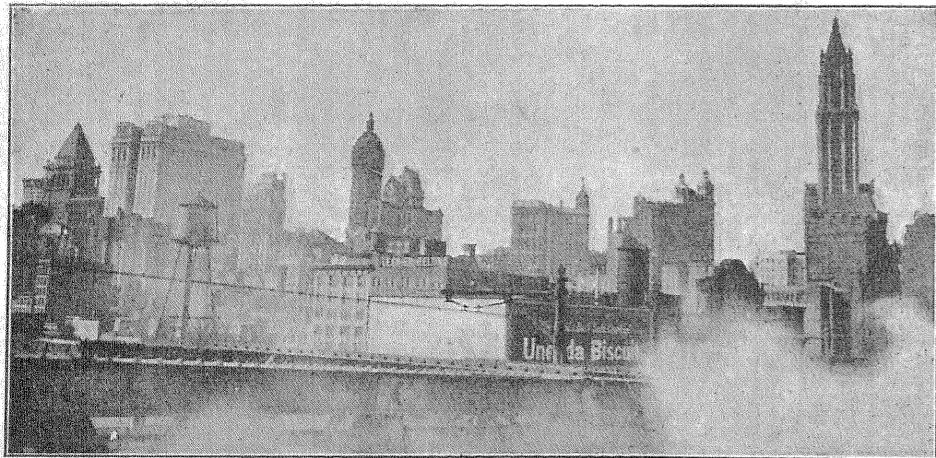
Wielki most żelazny nad Niemnem.



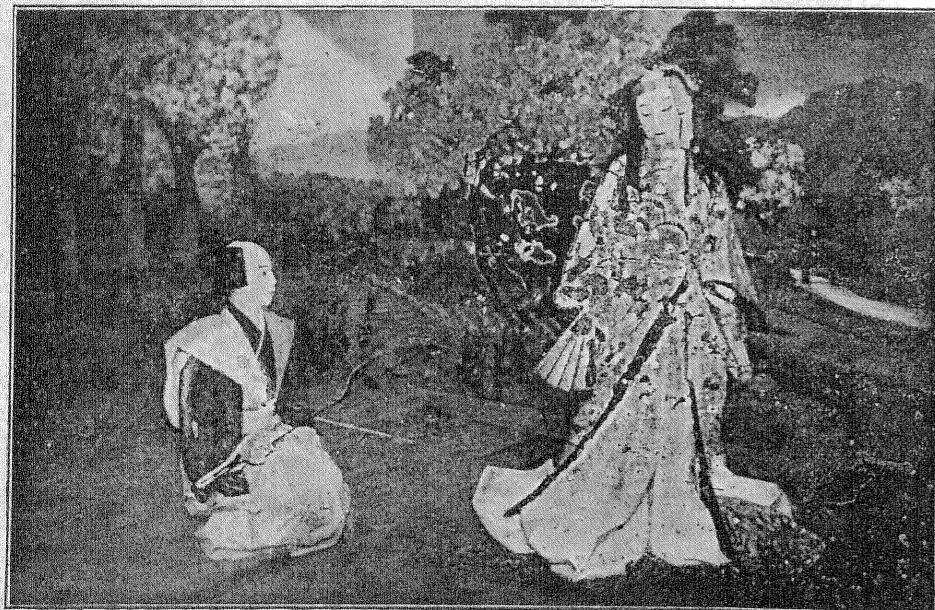
Wieża zaniku Radziwiłłów w Nieświeżu.



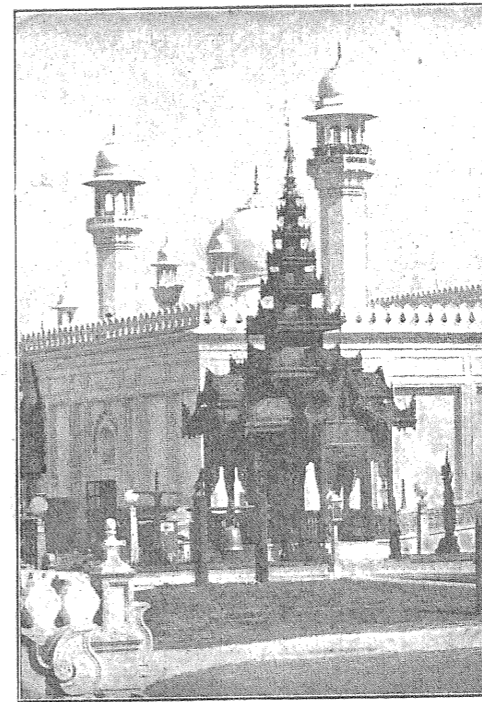
Wzorowy zakład kąpielowy w Miami.



Widok na drapacze chmur w Nowym Jorku.



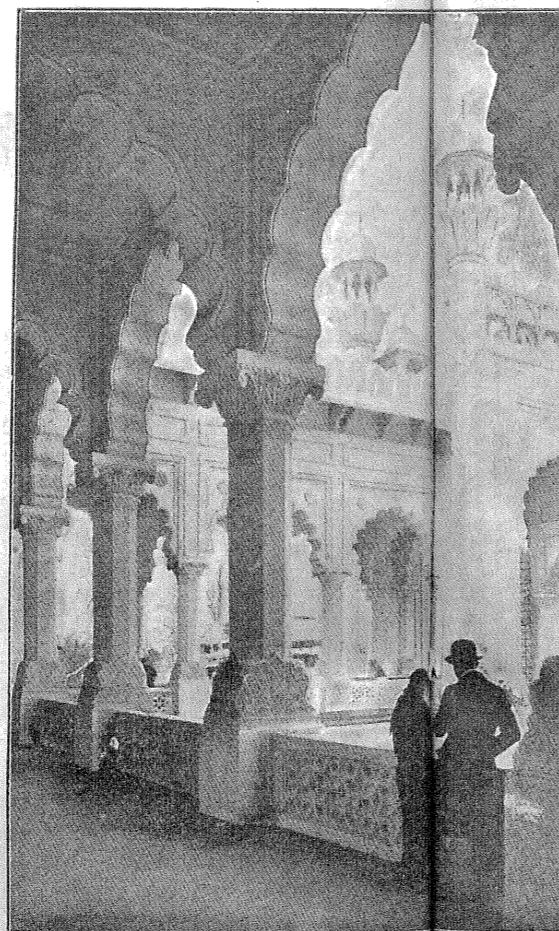
Artystki teatrów japońskich.



Kaplica birmańska w Indjach, słynna z artystycznych ozdób architektonicznych.



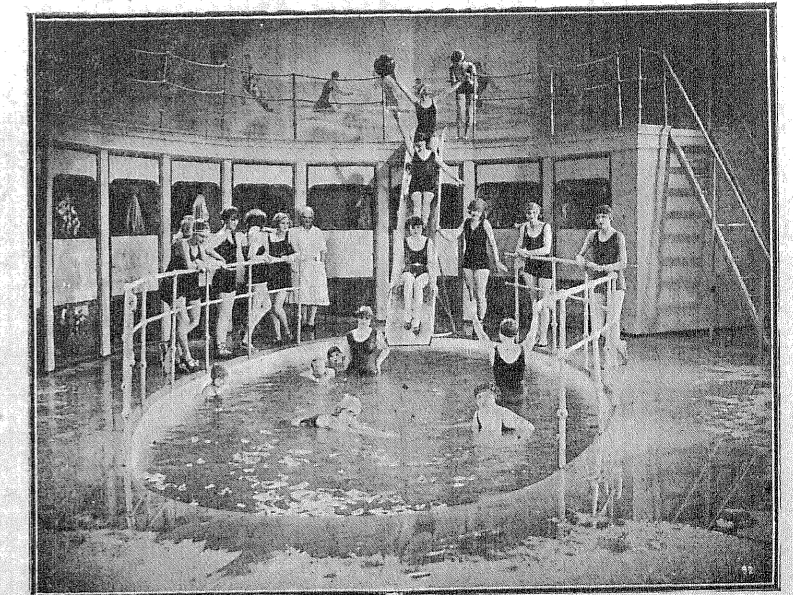
Lili Damita, najpiękniejsza i najefektowniejsza gwiazda ekranu, znana z filmu „Paryska zabawka“ i „Złoty Motylek“ w swej najnowszej roli „Ubóstwiana“.



Podwórzec domu indyjskiego z dzieły kapitału.



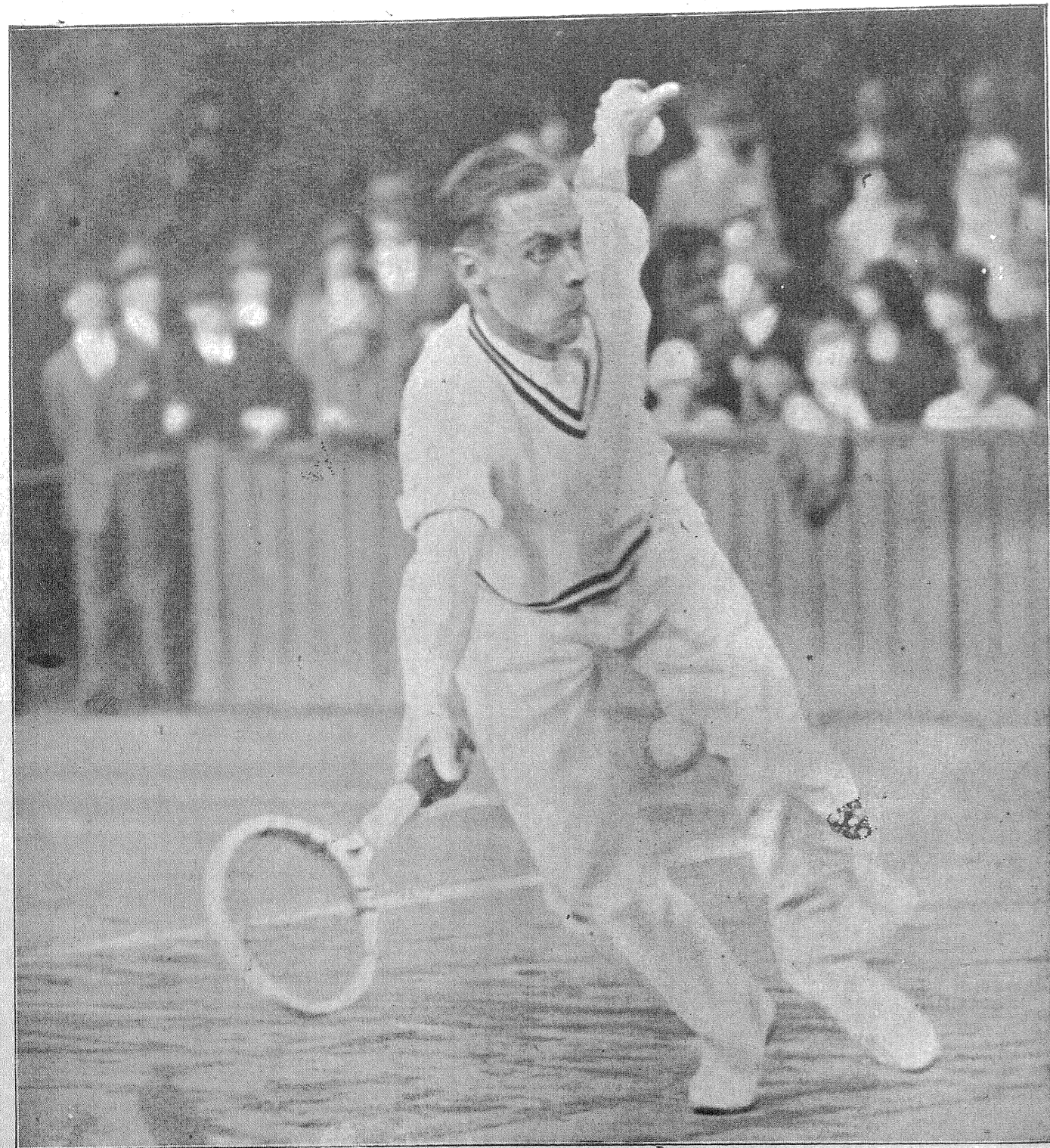
Dzielną amazonką, p. Linde, przebyła konno przestrzeń z Sztokholmu do Brukseli. Na zdjęciu amazonka ze swą ulubioną kasztanką.



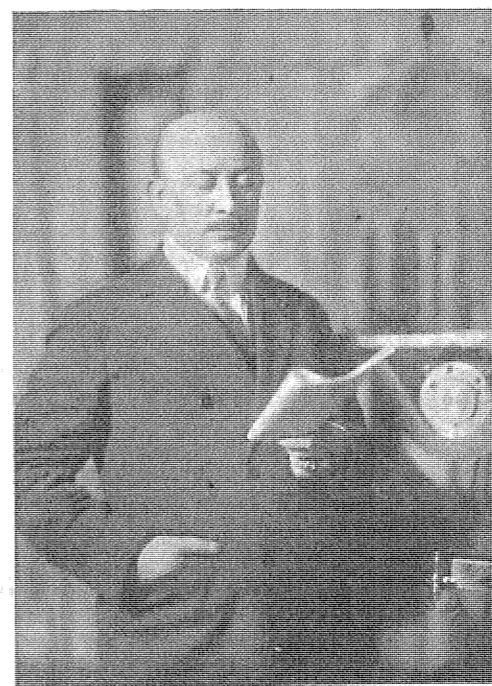
Zespół „girls filmowych“ w basenie kąpielowym za kulisami wytwórni kinematograficznej.



Mistrz lawn-tennisu.



Jeden z najlepszych tenisistów Polski, Iodzianin Jerzy Stolarow, odniósł ostatnio szereg pięknych sukcesów, zdobywając mistrzostwo Warszawy, Poznania i zwyciężając doskonałych tenisistów zagranicznych w turnieju międzynarodowym w Krakowie.



Kornel Makuszyński przed mikrofonem polskiego radja.



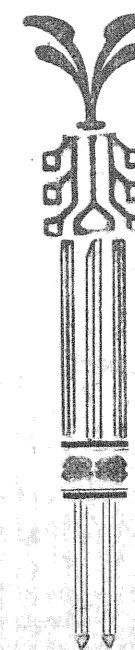
Gra Józefa Ozimińskiego na skrzypcach przed mikrofonem.



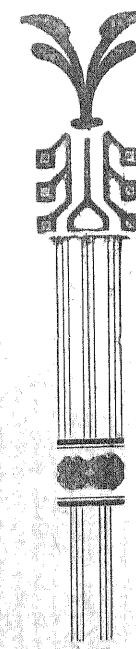
Prelekcja Aleksandra hr. Skrzyńskiego przez radjo.



Muzyk-pianista, Józef Turczyński, oczekujący połączenia ze światem.



Spiew Walerji Dobosz-Markowskiej przy akompaniamencie fortepianu.



Na dobranoc. Piętnastominutowa audycja w łóżeczku.

ARI.

Na mchem porośłym kamieniu, u przerozyczystej sadzawki siedziała Ari, nimfa, z precikiem w ręku i pasła swą różnobarwną trzodę. Owieczkami jej były zwiędłe liście, żółte, brązowe i czerwone, które pobliski strumyk do ukrytej w zaroślach sadzawki przynosił.

Ari pieściwie je rutką swoją gromadziła razem, baczac pilnie, aby swawolny strumyk żadnego nie porwał i nie uniół z sobą tam, dokąd sam wartko się toczył.

Rosła tedy szybko jej pstra gromadka i Ari z uśmiechem zadowolenia witką swoją wodziła wokoło.

— Ale co to? Żadna owieczka już nie przychodzi? Znowu nie? I znowu nie? — Ari przestała się uśmiechać i rozmyśla.

— Czy aby nie gałąź wpadła do strumyka i listkom drogę zagraża? Trzeba zobaczyć, kto jej zepsuł rozkoszną zabawę?

Położyła rutkę przed szyjką sadzawki, aby żadna owieczka wymknąć się nie mogła, zgrnęła czerwono - złociste włosy z twarzy i wstała. Stanawszy na jednym z wyżej położonych kamieni mogła kawał strumienia ogarnąć wzrokiem. Odwróciła się.

— Ha!

Jej lazurowe oczy błyskawica gniewu przeszły.

O niecałe dwadzieścia kroków od niej, młoda jodła tylko źle osłonięta, czaił się Cukiel, nieletnia latorośl złośliwego fauna Grizo. Przykucnąwszy, wyciągniętą nad strumyką dłoń wyląwiał nadpływające liście. Na bezczelnej twarzy o tępym nosie widniał wisusowski uśmiech.

Cukiel dobrze wiedział, co robi! Nie pierwszy to raz psuł Ari zabawę. Kiedy na skrzydełkach siedzącego motylka liczyła pstre centki! Już, już dobiegała końca, przychodził Cukiel i płoszył motylka. Gdy trzy dni na rozkwitnienie fioletka czekała i właśnie miał się otworzyć, aby słodkiej swej woni jej udzielić, Cukiel znowu się zjawił niespodziewanie i przygniatał go swoim, małym, twardym kopytem.

Ach, on był jej zmorą i utrapieniem, od kąd mógł skakać!

Drżąc z gniewu, przebiegła po kamieniach do jodły, za którą się Cukiel ukrywał i chwyciwszy go z tyłu za małe różki nad czołem, przechyliła go w dół, zanurzając jego głowę w strumieniu.

Chciał krzyczeć, ale woda załapała mu wnet usta. Kiedy go Ari puściła, pozostał na ziemi z twarzą w strumieniu i nie ruszał się wcale. Ari stała obok niego bezradna i strwożona.

Wtem zaszumiła między liśćmi. Ari spojrzała i uciekała. Poznała bowiem starego fauna Grizo. Wśląd zatem rozległ się wściekły ryk. Ari, drżąc całym ciałem, przykucnęła w gestych zaroślach.

Wieczorne słońce swe ostatnie blaski rzucało w las. Purpurowymi pniami wyrastały jodły ze złocisto - różowej murawy. Ciemne plamy rumowisk skalnych znaczyły się szaro - brunatnie wokoło.

Na największym głazie siedział pan srebrnowłosy, z głową w bluszcz zdobną. Obok niego ze wszystkich stron na niskich kamiakach przykucnęły najstarsze fauny: szare, kosmate i pomarszczone.

Na uboczku nieco, na ciemnym mchem porośłym pagórku siedziała Ari, biała i błyszcząca, z rękami związanymi z tyłu trzciną. Przez pochylone czoło włosy jej spadały na łagodnie zaokrąglone kolana, lśniąć ognicie, tam gdzie ukośny promień słońca je muskał.

Tuż obok pana skalistego tronu, stał wysmukły o jodłę oparty Ger, faworyt pana, najbrunatniejszy i najbardziej kędzierzawy ze wszystkich młodych faunów. Czarne jego płomienne oczy patrzyły bezustannie na wiotką postać skrepowanej Ari.

Tylko co Grizo, stojący w gronie starych faunów, zakończył swą jęśliwą skargę. Wyjąc, wznosił w górę niezwygłego Cukiela i żądał sprawiedliwości. Był strasznie brzydki z krzywymi rogami i nogami oraz szaro - zieloną twarzą. Oblicze pana wyrażało wstręt. Nakazał Grizowi milczenie. Spojrzał na przycupniętą na wzgórzu nimfę i litością wezbrało mu serce. Ale sprawiedliwość pana była większa, aniżeli miłosierdzie jego. Przez chwilę skupił się w sobie, poczem ogłosił wyrok:

— Weź sobie Ari — rzekł do Grizo — twoja jest, póki ci Cukiela nie zwróci.

Chrząkanie i pomruk rozległy się wśród zebranych, ale nikt wyroku nie zakwestjonował.

Grizo jeden zaśmiał się dzikim śmiechem:

— Jesteś mądry i sprawiedliwy, wielki panie! — zawołał i wzięwszy Cukiela pod lewe ramię, prawą ręką chwycił trzcinę, którą ręce nimfy były związane i pociągnął ją za sobą w ciemniejący las, ku swej grocie.

Starzy faunowie rozchodząc się, omawiali wyrok i zazdrościli Grizowi.

Pan, wstawszy ze swego skalistego tronu, zawołał Gera.

Ale Gero znikł.

* * *

Błada tarcza księżycowa, królując na nieboskłonie, słała swe blaski na stromą ścianę skalną, wystającą srebrną bielą z pomiędzy czerni jodłowej. W jednym tylko miejscu las jakgdyby się cofnął. Wielką ciemną paszczą ziała tam szczelina. Była to grota Griza.

Coś się przed nią w lesie ruszało. Sokół wleciał, trzepocąc skrzydłami o konary i jak strzała śmignął precz wysoko ku ciemnym szczytom drzewnym. Suche gałęzie zatrzeszczały w dole. Tupot nóg się zbliżał. Jakiś jęk przeplatał odgłos kroków. I

oto ukazał się na wyrębisku: Grizo z Cukielą pod pachą i Ari, wlokąca się za nim. Grizo stękał ze zmęczenia, ale usta jego szczyrzyły się w złośliwym uśmiechu. Malpion wystające zębów błyszcząły z za wysokich, sinych warg. Ari, chwyciwszy się, szła za swym władcą z zwisającymi, w rosie skapanymi włosami. Trzcina wrzynała się jej w ręce. Musiała się za nim wlec.

Przez poiankę zbliżali się do groty. Jeszcze dziesięć kroków, a znikną w jej czełści.

Nagle cień mignął za głazem skalnym. Skok. Ger stał przed Grizo, trzymając kamień obu dłońmi. Grizo puścił Ari, która bez wydania głosu padła na ziemię i zasłonił się trupem małego Cukiela przed ciałem. Zwłoki Cukiela i kamień potoczyły się na ziemię. Ger skoczył i pochylił się. Grizo również. Zderzyli się mocno uzbrojonymi w rogi czaszkami. Grizo zachwiał się. Drugie gwałtowne uderzenie wnet dostał w kosmatą pierś, aż zwałił się na ziemię. Podniósł się w okamgnieniu, ale czarny strumień krwi, charkocząc, bluznął mu z ust. Zakreślił się w miejscu i padł znowu tuż obok Cukiela. Ostatnim wysiłkiem przyciągnął go do siebie i znieruchomiał.

Ger podbiegł do Ari, rozwiązał trzcinę i przywarł uchem do serca nimfy. Poczem podniósłszy ją, poszedł ku grocie. U wejścia do niej jeszcze raz się obejrzał w stronę Griza z płomieniem triumfu w oczach: znikł razem ze swą zdobyczą w jaskini.

Trzy razy puhać krzyknął w oddali. Poczem ziemia się uciszyła, jakgdyby z księżycem o zakład poszła, które z nich dwojga głębiej milczeć potrafi.

Tłum. Jotsaw.



Zula Pogorzelska, filar warszawskiego teatru „Wielkiej Rewii“.



Rok IV.

Łódź, dnia 20 listopada 1927 roku.

Nr. 47.

11-ty listopada w Łodzi.



Dziewiątą rocznicę restytucji Państwa Polskiego obchodziła Łódź uroczystie. Na zdjęciu przedstawiciele władz państwowych z dowódcą O. K. Nr. IV, generałem Stanisławem Małachowskim (XX) i wojewodą łódzkim p. Władysławem Jaszczoltem (X) na czele w czasie przyjmowania defilady przy ulicy Piotrkowskiej. Fot. Aleksander Meyer